ONDYNA

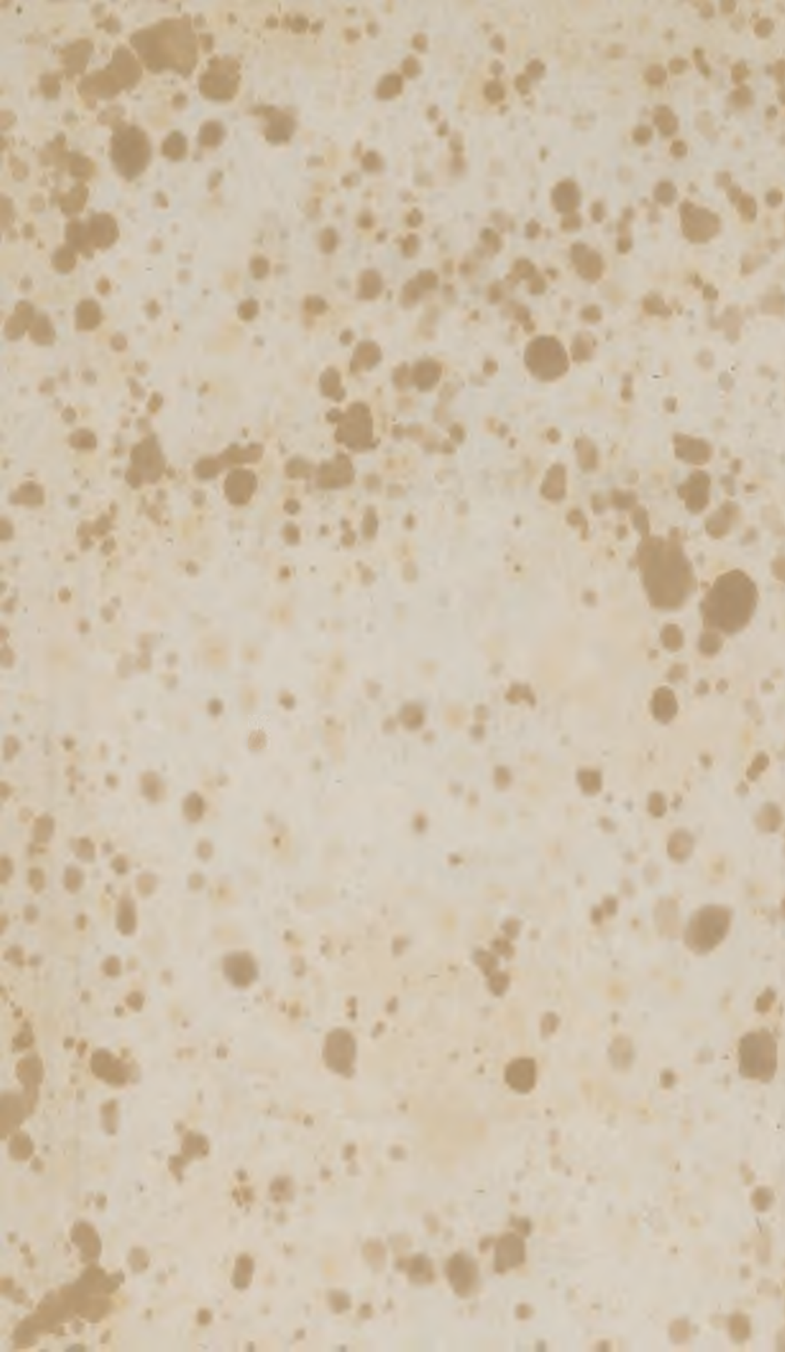
Druskienickich źródeł.

Rok 1844.

ZESZYT PIATY.



GRODNO.



ONDYNA

ONDYNA

DRUSKIENICKICH ŹRÓDEŁ

PISMO ZBIOROWE DLA ZDROWYCH I CHORYCH

w czasie czteromiesiecznego u wód mineralnych pobytu

Wydawca

K. WOLFGANG.

Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga, o światło.

Zeszyt piąty.

GRODNO.

w Drukarni Rządowej.

Nakład wydawcy.

1844.

Pozwolono drukować pod warunkiem, aby po wydrukowaniu, złożone były w Komitecie Cenzury, exemplarze prawem przepisane.

Wilno, d. 5. Października 1844 roku.

Sprawujący obowiązek Cenzora, *J. Fok.*

DZIADEK

BOŻE W DOBROCI.

Nowina Historyczna.

W Wilnie, przed kościołem Ś. Kazimierza, o kilka krokow od bramy, po lewej ręce, leżał ogromny niekształtny kamień granitowy, przy którym siadywał zawsze staruszek, z ryżą brodką i nasępionemi długiemi brwiami, zimą i latem okryty ubogiem odzieniem, kaleka na obie nogi. Śpiewał prawie ciągle pieśń: *Boże w dobroci nigdy nieprzebrany, i t. d.* — lecz tak przyjemnym i uczonym głosem, że zwracał na siebie uwagę nie jednego przechodnia: rzadko też kto go minął niedawszy jałmużny.

Kiedym raz pierwszy przybył do Wilna, powiada autor spółczesnego rękopismu, z którego tę nowinę wypisujemy, ja który większą połowę stolic europejskich krajow zwiedziłem, tu jeszcze niemało rzeczy ciekawych do widzenia znalazłem, szczególnie może dlatego, iż każdemu najmilsze są pamiątki własnego

narodu; szczątki starożytnych murow, rozwaliny, góry osute mogiłami przeszłych pokoleń, ogromne świątynie, pałace magnatow litewskich, zaiste mogły zająć uwagę przybylca. Lubiłem zwiedzać bazylikę S. Kazimierza, znamienitą nadgrobkiem Hetmana Gosiewskiego, który tak nieszczęśliwie życie zakończył za Jana Kazimierza. Lecz i dziadek, o którym namieniliśmy, zajmował niepomału naszę uwagę.

Dlaczego, powiedz mi proszę, pytałem starej kramarki, w półpodziemnym sklepiku po drugiej stronie placu przedającej świece, oraz inne drobnostki pierwszej potrzeby, dlaczego nie opatrzą mieszkania dla tego biedaka, siedzącego ciągle przy kamieniu? kaleka zmarznie kiedykolwiek w tem położeniu. — Panie Dobrodzieju, ten dziadek już od dawna tu przesiaduje; ja sama od lat pięciu, przedając mój towar w tym sklepiku, nie pamiętam prawie dnia w którymbym go nie widziała na miejscu swojem siedzącego i śpiewającego. Nazywają go też *Dziadek Boże w dobroci*. Rano przywozi go na wozeczku jakaś kobieta, po południu odwozi znowu. Słowem codzień po pięć lub więcej godzin siaduje przy tym kamieniu. On wcale chodzić nie może, nie włada obiema nogami. Znosi z wielką cierpliwością swoje położenie; ani ulewy, ani słoty, ani żadna odmiana powietrza,

nie odstrasza go od siedzenia na tem miejscu. — Mój Boże, rzekłem, ten dziadek jest prawdziwym pokutnikiem, żebrzącym od Boga i ludzi miłosierdzia... — On, przerwała kramarka, od ludzi niczego nie prosi nigdy, nigdy do przechodzących nie przemawia, ani odpowiada na ich pytania; ciągle a ciągle śpiewa pieśń tę samę. Rzucają mu za to jałmużny obfitsze, jak gdyby o nie prosił. Pieniądze, jak uważałam, skrzętnie chowa, rzeczy do jedzenia dzieli między innych żebrakow i psów, które codzień do niego przybiegają. Wieśniaczki znoszą mu len i kawałki płótna nowego, i to zabiera z sobą. Dotego ma protekcją w klasztorze księży świętokazimierskich. Kto on jest, z jakiego stanu, jakie ma nazwisko, tego wielmożnemu Panu powiedzieć nie potrafię. Są różne powieści w tej mierze: jedni mówią, że był mularzem a to jeszcze w Rzymie, i spadłszy z rusztowania, okaleczał; drudzy dowodzą że rozbojnicze życie kiedyś prowadził, a teraz pokutuje. Są nawet, którzy go pomawiają o czarnoksięstwo: niedawno jeszcze znikł czarny piesek, przy nim będący a dziwnie zmyślny, o którym powiadano, że należał do rzędu złych duchow pod psa postacią utajonych. — Takowe opowiadała wieści stara kramarka. Również niezaspakajające rzeczy mówiły mi osoby wyższego rzędu. Przyzwyczajenie do widywania tego

człowieka, tłumiło słuszną ciekawość w ludziach nawet oświeconych, po którychby można się było spodziewać wiadomości obszerniejszych o podobnych szczegółach rodzinnego miasta. Starałem się ze starym wejść w rozmowę, lecz nie mogłem go przywieść nigdy do najmniejszej wzmianki o sobie. Zawsze mię zbywał pobożnemi westchnieniami, błogosławieństwem, życzeniami dobra, i wraz do śpiewu swego powracał.

Postanowiłem wypatrzyć porę kiedy go do mieszkania odwiozą, i poszedłszy za wozkiem wyśledziłem dom, a nazajutrz poszedłem w zamiarze zaspokojenia ciekawości mojej. Za Subocz bramą, na przedmieściu przy długiej uliczce prowadzącej do oficyn klasztoru PP. Wizytek, znajdował się dworek drewniany dobrego pozoru; wtem spotykam żyda z blizkiej chałupy wyłażącego, pytam go. — Dworek ten, wielmożny Panie, należy do wdowy pani Kulbackiej, ona sama tu mieszka. — Któż ta pani Kulbacka? — Szlachcianka, dawno przybyła ze wsi, kupiła ten plac, pobudowała się, i mieszka sobie. — Tu musi także mieszkać jeden żebrak, co siedzi często pod kościołem Ś. Kazimierza? — To dziadek *Boże w dobroci*, on tu ciągle przebywa u pani Kulbackiej. — Zapukałem do bramy dworka i prosiłem, żeby mię zaprowadzono do gospodyni domu. Wszedłszy do izby czysto

utrzymanej, ujrzałem wychodzącą z alkierza niewiastę około lat czterdziestu mającą, ochędóżnie ubraną. Po krótkiem przeproszeniu za śmiałość z jaką się uprzykrzam, powodowany nieprzezwyciężoną ciekawością zapoznać się z dziadkiem w jej domu mieszkającym, powiedziałem kto jestem. Uprzejma gospodyni prosiła mię siedzieć, lecz o staruszku powiedziała tylko, iż jest zagadką jeszcze nierozwiązaną; chociaż bowiem zaznajomienie się z nim nietrudne, wszelako nie zna nikogo ktoby o tym człowieku więcej cóś wiedział nad powszechne powieści, ani też ona sama więcej się o nim dowiedzieć mogła. Dodała wkońcu, że najlepsza pora widzenia dziadka byłaby o szóstej godzinie z wieczora. Oświadczywszy że dziś jeszcze miałbym zamiar korzystać z tego, i otrzymawszy pozwolenie, odszedłem. Wieczorem czekałem z niecierpliwością naznaczonej godziny, ażeby poznać bliżej człowieka, którego stan przeszły i okoliczności życiu towarzyszące, niemało zajmowaćby musiały O godzinie 6-tej byłem już u pani Kulbackiej. Niebawnie wbiegła młodziutka śliczna jak anioł dziewczynka, przystojnie ubrana, i skłoniwszy się z wdziękiem, oznajmiła, że ojciec jej na nas czeka. — Jest to córka staruszka naszego, powiedziała pani Kulbacka. — Przywitałem piękną dziewczynkę, której uśmiech,

ukłon i cała postać, niewymówne wrażenie odrazu na mnie sprawiły.

Poszliśmy na przeciwek; powitał nas podeszłego wieku człowiek siedzący na wielkiem krześle poręczowem, obitem materacami. Przed nim stał stolik z dwiema gorejącemi świecami jarzęcemi; ubrany był w szlafroku, białem futerkiem podszytym; bielizna na nim cieńka i czysta, w ustach turecka fajka. Pani Kulbacka rzekła, iż przyprowadza przyjaciela swoich krewnych, który niedawno przybył do Wilna i zatrudnia się promocją interesow prawnych przy Trybunale. — Oświadczyłem więc nazwisko moje, tudzież chęć usilną poznajomienia się z nim osobiście. Prosił mię siedzieć, a pani Kulbacka wyszła z młodą panienką. Starzec, który mi się wprzód wydawał zgrzybiałym, dopiero zdawał się mieć nie więcej nad lat sześćdziesiąt pięć. Mówiliśmy o rzeczach politycznych, o sejmikach, nowym Trybunale i t. p.; bardzo się cieszył, że będąc w liczbie przyjacioł pani Kulbackiej, jestem agentem trybunalskim, i dowiedziałem się od niego, iż ona ma proceder, do prowadzenia którego dawno szukała człowieka z charakterem i odpowiednemi zdolnościami. Starałem się utrzymać dziadka w mniemaniu, żem jest krewnym tej pani. Ilekroć zaś zwracałem mowę do przedmiotow mogących objaśnić szczegóły życia jego, tylekroć

umiał unikać jasnej odpowiedzi. Postrzegłszy tę jego szczególną ostrożność, chociaż mię to bardziej nabawiało ciekawości, postanowiłem oddać czasowi powodzenie mego odkrycia. Na ten koniec prosiłem, abym korzystając ze zręczności bywania u pani Kulbackiej, której procederem zająć się przyobiecałem, mógł go częściej odwiedzać. Podziękował z uśmiechem, jakby zdawał się zgłębiać mój zamiar, potem pomyśliwszy trochę, powiedział: — Pan Dobrodziej, jak widzę, jesteś człowiekiem oświeconym, widziałeś wiele świata i ludzi, a dotego łaskawy przyjaciel mojej gospodyni; kiedy więc zechcesz udarowywać mię swojem odwiedzaniem, za wielkie szczęście dla siebie poczytam.

Odszedłszy do pani Kulbackiej, wręcz oświadczyłem jej moje usługi w interesach procederowych, bez żadnej za nie pretensji; zaczęła się wymawiać, lecz ja upewniłem, że powodem do mej otwartości nie było nic innego, jak przychylność dla staruszka, chęć zapoznania się z nim bliższego, i ochota uczynienia dla niej samej jakiejkolwiek posługi. Przyszło następnie dotęgo, że się zająłem interesami tej szanownej wdowy, poprawiłem je znacznie, a potem doprowadziłem do pożądanego końca. Co do dziadka, ani miesiąc, ani dwa, ani rok cały nie zbliżyły mię do poznania szczegółów jego życia. To tylko

wiedziałem co wszyscy zblizka jemu znajomi — że był nieubogim człowiekiem, że postać jego żebracka przy kamieniu świętokazimierskim, jest pokutą ze ślubu aż do śmierci przyjętą; że nakoniec położenie obecne pani Kulbackiej, było jego szczodrobliwości udziałem.

Ale Marysia, córka tego szczególnego pokutnika, odjęła pokoj sercu mojemu. Poznawszy tę śliczną dziewicę, pełną cnot najwyższych, wychowaną starannie, rozsądną i w szkole Wizytek pod opieką pani Kulbackej w naukach kobietom właściwych udoskonaloną; zdawało mi się największem szczęściem otrzymać rękę tak miłej, czcigodnej osoby: pobożność, rozsądek, wiadomości w naukach, zdolność do sztuk nadobnych, zręczność w robotach damskich, ochota do gospodarki, a nadewszystko prawdziwe pojęcie cnot i powinności towarzyskich, obywatelskich i domowego pożycia, były skutkiem troskliwego wychowania pod okiem ojca i pani Kulbackiej; a kształtna kibić, urok młodości i zdrowia, przyjemność rysow twarzy i miły dźwięk głosu, w oczach moich stokrotnie podwyższały zalety pięknej duszy i wykształconego umysłu.

Obejrzałem się na siebie; lat mi trzydzieście zaledwo minęło, miałem zdrowie, ochotę do gospodarki, ośmnastu chat folwareczek, nieodległy od Wilna i wolny od wszelakich długow. To mię utwierdziło w postanowieniu

proszenia o rękę córki dziadka. Wprzód jednak przedsięwziąłem zwierzyć się przed panią Kulbacką. — Panie, powiedziała: co do mnie, życzyłabym ci z duszy pojąć tę osobę, znasz ją należycie, i to zapewne wybor twój postanowiło; ale ona jest córką niewiadomego człowieka, i niema nadziei, abyś mógł odziedziczyć bogatą spuściznę, bo starzec lubo miał i mieć jeszcze może niewielki zapasik pieniędzy, ale podobno niemi się rozporządza po pokutniczemu, tojest oddaje na szpitale i księży, których nazywa swemi spadkobiercami. — Daleki jestem od wszelkich przesądow i chciwości, odpowiedziałem, idę za natchnieniem serca mojego, a znalazłszy w Marysi osobę jedyną, którąby szczęście moje ustalić mogła, ktokolwiek ona jest, córka żebraka czy książęcia, to mniejsza dla mnie; szukam cnoty, zalet i przymiotow, jakie pod okiem twojem, Pani, nabyte, zdobią tę niezrównaną dziewicę. Chciej przeto łaskawa Pani, przyczynić się do szczęścia mojego. — Znam ja sposob myślenia WPana, rzekła Kulbacka, znam aż nadto, abym powątpiewać miała o rzetelności jego wyznań. Wiedz przeto, że jesteś nawzajem kochany od Marji, która mi się wtem zwierzyła; ze strony ojca, trudności także nie będzie, gdyż i on WPana serdecznie upodobał. — W uniesieniu szczęścia mojego, upadłem jej do nog, i sam dopiero wypowiedzieć

nie potrafię, ilem naprawił wynurzeń wdzięczności, podziękowań, w tej chwili najwyższej radości, jaką po raz pierwszy w życiu mojem uczułem. Wkrótce też pojąłem w dozgonną przyjaźń Marysię, a na wyjeździe naszym do mojej wiosczyny, ojciec dał nam przy pożegnaniu tysiąc bitych talarow. Tak byliśmy w stanie zaprowadzić zaraz wszelkie porządki gospodarskie; prowadziliśmy życie w dostatniej wygodnej mierności, szczęściło się nam we wszystkiem. Częstośmy bywali u ojca i pani Kulbackiej. W takiej kolei sześć lat upłynęło; już nasz syn jedynak Józio, piąty roczek zaczął, kiedyśmy niespodzianie odebrali od pani Kulbackiej wezwanie prędkiego przybycia do Wilna, ponieważ ojciec zasłabł mocno na zdrowiu. Pośpieszyliśmy natychmiast; znalazłem leżącego w łóżku, z którego już nie wstawał od dni pięciu. Przez trzy dni odwiedzał go spowiednik ksiądz Jezuita i codziennie miał z nim tajemne rozmowy; w dniu czwartym zdawał się mieć lepiej, lecz po nocy uczuł słabość przedśmiertną, przyjął sakramenta i później nieco przyzwał mię do siebie. Usiadłem przy łożu, a postrzegłszy bladość na twarzy jego, przepowiednię śmierci, nie mogłem się od łez wstrzymać. Wtem zaczął mówić: — Synu mój przysposobiony, panie Michale, oddaję tobie w opiekę Marysię moję, bądź jej przyjacielem i ojcem razem,

tak jak jesteś ojcem jej Józefka. Ja was opuszczam w tej doczesności, Bóg w dobroci nigdy nieprzebrany, już domierzył czas pokuty mojej; mam nadzieję w Jego miłosierdziu, że mi przebaczy ciężkie grzechy moje, jedynie dla krwi i męki Syna swego, Boga i Zbawiciela naszego. — Tu począł gorzko płakać i powtarzał zcicha pieśń: *Boże w dobroci.* Po niejakim czasie uspokoiwszy się, tak dalej mówił: — Co się tyczy pani Kulbackiej, winniście jej wdzięczność dochować na zawsze, tak za przychylność jej ku mnie, jako też za staranność koło wychowania Marysi i opatrzenie jej losu przez zamęźcie z tobą, mój drogi Michale. Ona też więcej nic, prócz wdzięczności i przyjaźni, od was nie potrzebuje. Za mojem przybyciem do Wilna, była tak dobrą, że sama nic więcej nad ten dworek niemając, utrzymując się praniem bielizny i uprawą jarzyn w ogrodzie swoim, przyjęła mię na mieszkanie. Jeślim jej dopomogł w urządzeniu wygodniejszej budowli, boskie to zrządzenie że miałem na to fundusz; przeto żadnego zwrótu nie wymagam. Waszeć, panie Michale, weź moję szkatułkę z pod łóżka, znajdziesz w niej w złocie pięć tysięcy talarow, które użyj na potrzeby domu swojego; sprzęty moje w izbie i alkierzyku będące, rozdajcie ubogim, niemówiąc do kogo należały. Naczynia z szafy niech Marysia do siebie

zabierze; klucz od niej w szkatule. Moim pogrzebem nie macie się potrzeby zatrudniać, księża załatwią wszystko. — Zamilkł, kazał nam odejść i zdawał się spoczywać parę godzin. Nadszedł ksiądz Rochita, z którym przez kwadrans rozmawiał sam na sam. Następnie przywołał nas wszystkich, błogosławił córkę, wnuka i mnie. Dziękował pani Kulbackiej tak czule, pięknie i wymównie, żeśmy się wszyscy od głośnego płaczu wstrzymać nie mogli, niewyłączając księdza Rochitę. Potem powiedział do mnie: — Panie Michale, weź tę skrzynkę z pod łóżka, weź mi ją zaraz i zachowaj u siebie, bo tu, oprócz szafy z rzeczami darowanemi Marysi, nic więcej do was należeć nie będzie. — Wyciągnąłem szkatułkę, a on dając mi klucz od niej, rzekł jeszcze z wypogodzoną twarzą: — Panie Michale, masz w niej papier moją ręką pisany jedynie dlatego, abym wypłacił ci się z długu, zaspakajając twoję ciekawość o mnie i przygodach moich. Przeczytaj go po mojej śmierci, a potem spalić możesz. Chciałbym jednak, żeby Józio, doszedłszy lat dojrzalszych, wiedział kto ja byłem. — I ja także, odezwała się pani Kulbacka. — Pani się nie złudujesz z tego, bo twoja cnota wyższą jest nad wszystkie przykłady. Chybabyś chciała wiedzieć o życiu człowieka, przeplatanem nieszczęściami wszelkiego rodzaju; lecz ciekawości już nie kładę

tamy. — Począł trudniej oddychać i zbierać siły do mówienia, gdyż umysł jego był zupełnie przytomny. Wkońcu rzekł: — Żegnam was dzieci moje, poruczam dobroci Najwyższego Boga... i zamilkł. — Rochita zapalił gromnicę i śpiewał: *Boże w dobroci nigdy nieprzebrany*. Po kilku chwilach już duch pokutnicze ciało opuścił.

Niebawnie zeszli się Rochici, przywieźli trumnę, umyli, ubrali w swój habit i zmrokiem pocichu wywieźli ciało. Chcieliśmy im ofiarować nagrodę, ale jej nie przyjęli, mówiąc, że koszta są już zaspokojone. Rozdaliśmy przeto ruchomość ubogim według rozporządzenia, poczem też Marysia znalazła w szafie sprzętow srebrnych na parę tysięcy talarow, które ojciec jej był skupił od rozmaitych ludzi potrzebujących pieniędzy, płacąc rzetelną wartość każdej rzeczy. Nazajutrz poszedłem do Rochitow, chcąc być na pogrzebie teścia mojego, lecz mi oświadczono, że podług woli jego pogrzeb już się odbył. Wszakże w kościele S. Kazimierza, odprawiono jeszcze nabożeństwo żałobne za dziadka *Boże w dobroci*; byłem na niem i słyszałem piękne kazanie, którego treścią było pokutowanie za grzechy.

Czytelnicy moi ciekawi zapewne będą dowiedzieć się szczegółow o tym tajemniczym człowieku. Oto jest dosłówna kopja rękopismu w szkatule znalezionego.

Jestem Jakób Bieńkiewicz, szlachcic z antenatow, rodem z pod Oszmiany. Po śmierci rodzicow zostałem sierotą, lat sześć wieku mając. Mój opiekun i wuj pan Wice-Regent Grodzki Oszmiański, (Boże świeć nad duszą jego), Jerzy Zdanowski, tak się dobrze był mną opiekował, że przyszedłszy do lat szesnastu, nic więcej nie miałem nad jednę siermiężkę, jeden but cały i torbę z biczykiem, i to wszystko w okolicy będąc pastuszkiem, wysłużyłem. Pamiętam jak dziś, było to w wigilją N. P. Marji Rożańcowej, kiedy na biedę moje, czy szczęście, krowa gospodarza mego zabłąkała się w lesie i w nocy przez wilkow rozszarpaną została. Całą noc jej szukałem, nazajutrz powziąwszy ślad o tej przygodzie, chciałem wrócić do domu; słońce już było wysoko, kiedy Marysia, nadobna córka gospodarza mojego, pana Piotra Łukaszewicza, zabiegła mi drogę, i temi słowy ostrzegła: — Oh, Jakóbku! uciekaj w świat, gdzie cię oczy poniosą; moja matka gotuje się ciebie wybić, a ojciec poprzysiągł, że cię ze skóry obedrze, uwiązawszy u przeplotu, skoro wróci z odpustu; a ty wiesz przecie, że z nim żartow niema przy podobnym powrócie. — Droga Maryniu, odpowiedziałem, gdzież się ja obrócę; wolę być ukatowanym w domu waszym, niżeli gdzieś z głodu umierać, bo żebrzeć, dalibóg, nie umiem; znasz jak jestem do

ciebie przywiązany, Marysiu, jak ciebie mocno kocham. Masz dopiero trzynasty roczek, mnie lat piętnaście minęło, możemy jeszcze czas niemały pocierpieć; ja dziś katusze zniosę, a może Bóg zdarzy że się połączymy z sobą. Zostanę ot w tej leszczynie, gdyby mi i umrzeć przyszło. — Po długiej rozmowie uradziliśmy, że się będę ukrywał w krzakach, a Marysia mi oznajmi co tam gospodarze o mnie myślą. Dziewczyna dotrzymała słowa, przyniosła mi chleba, séra, wędzonkę i dzbanek chlebowego kwasu; pod wieczor zaś przyszła z bratem, który był żonaty i w osobnym domu mieszkał, a tak był uczony, że do mszy mógł służyć i na książce modlił się w kościele. Ten mi opisał okropną burzę wiszącą nad głową moją, dodał nawet że rodzice mają podejrzenie o mojem przechowywaniu się, a przeto niepodobieństwem byłoby zostawać w tym stanie. Strach mię i Marysię ogarnął, nie wiedzieliśmy co począć. Wtem dziewczyna rzuca się na szyję brata, i prosi go aby mię ratował. Ten zniewolony prośbami siostry, rzekł: — Trzeba uciekać, niema innego sposobu! Waszeć idź do Wilna, tam żaden poczciwy szlachcic z głodu jeszcze nie umarł. Bądź dobrym, pilnym, uczciwym, cierp i znoś wszystko z pokorą, udaj się do ojcow Jezuitow, nie głupiś z natury, dadzą ci naukę i będziesz miał kawał chleba; nie jeden

z pauperow na senatora wyszedł. Dziś przenocujesz u mnie w świeronku, a jutro marsz do pauperow, ja ci sam drogę do Wilna pokażę. — Pożegnałem się z Marysią i mojem szczęściem, jak mniemałem, na wieki. O północy przelękło mię pukanie do drzwi świerna, aż posłyszałem głos: — Jakóbku, Jakóbku! odemknij, to ja. — Poznałem wnet mowę Marysi, która w towarzystwie bratowej przyszła mię jeszcze raz pożegnać; przyniosła mi pięć złotych, dwie koszule, buty i chusteczkę kartunową na szyję. Do samej zorzy przeszeptaliśmy z Marysią, przysięgom na wieczną i stałą miłość, końca nie było. O świtaniu nadszedł mój przewodnik, a włożywszy mi w torbę chleba bułeczkę i sér, kazał iść za sobą. Wkrótce byliśmy na gościńcu wiodącym z Oszmiany do Wilna. Tu rzekł do mnie: — Ruszajże bracie w imię Boże, masz talarka na książki, staraj się być poczciwym człowiekiem, bo teraz takie czasy: jak się kto pościele tak i wyśpi. — Po tych słowach wrócił do domu.

Przybyłem do Wilna, zostałem przyjęty do pauperow; dwa lata żebrząc pożywienia, uczyłem się u księży Jezuitow. Już byłem niezłym infimistą, kiedy mię ksiądz Profesor Retoryki, wziąść do siebie za chłopca raczył. Był to plac nielada dla paupera; tylko co dostal mi się po nieboszczyku Janku

Paprockim, zmarłym na trzeci dzień po przećwiczeniu przez pana swego, u którego, po prostu mówiąc, nie chciałby sam djabeł służyć, gdyby nie pokosztował pauperskiego chleba. Groźny nad groźnemi, urodziwy i pleczysty Jezuita, rumiany z twarzy i przeraźliwego wejrzenia, kroku nie uczynił bez bizuna za cholewą — którego na mnie też nie skąpił, chociaż trafiałem ulegać i odgadując myśli, często zasłużyłem na dobre wejrzenie, lub tylko pociągnięcie za czub i pogładzenie pod brodę. Jednę wszakże miałem korzyść że mię uczył, albo raczej kazał swoim studentom ciągle mię trapić lekcijami, karmił dobrze i odziewał. Tak przywykając do uczenia się i posługiwania, przepędziłem lat cztery.

Razu jednego, będąc jak zwykle posłany po ratafję do Mowszy na szklanną ulicę, spotkałem przypadkiem Antoniego Łukaszewicza na rybnym końcu, tego brata Marysi, który mi doradził iść do Wilna. Po czułem radości z obu stron wynurzeniu, kiedy mu opowiedziałem o moim stanie i postępach w naukach, nie zapomniałem pytać o Marysi, i dowiedziałem się z radością, że zawsze ta sama, zawsze o mnie pamięta i często prosiła sąsiadow jadących do Wilna, wywiedzieć się o mnie; posyłała nawet bieliznę i różne drobnostki swojej roboty dla mnie, ale nie udało się nikomu mię wynaleźć. Martwiło to więc biedną

dziewczynę i często ubolewała na niestałość moję w obietnicach. — Poczekaj tylko, rzekłem, dam ja dowod mojej stałości; za godzinę najdalej przyniosę ci do wozu list własnej mojej ręki do Marysi, który będzie mogła dać przeczytać choćby księdzu Proboszczowi w Oszmianie, albo temu djabłu Wice-Regentowi, który mnie był na pastucha wykierował, zmarnowawszy niewielki spadek mój po rodzicach. Umiem ja dopiero po retorsku piórem władać, gdyż mam honor ściągać buty samemu jegomość księdzu Profesorowi Retoryki, który codziennie najmniej sto bizunow rozdziela pomiędzy swych uczniow. Odniosłem co tchu flaszę z ratafją, którą mój pan ścisnąwszy pod sutanę, puścił się prostym korytarzem do celi kolegi pewnego, dokąd zaniosłem salceson, sér holenderski, chleb i masło; zasiedli we trzech około półgarncowej flaszy, a ja uradowany tem zdarzeniem, wpadłem do celi pana mojego, wziąłem papier i na jego biurze skreśliłem jeden z najmiłośniejszych listow, pamiętam, zaczynający się od słów: *Sercem najukochańsza, droga perełko moja, Marysieńku, życie jedyne!* — Przypadek zdarzył, że w połowie listu popsułem papier i musiałem wziąść się na nowo do pisania. Ukończywszy niekrótki listek, złożyłem, zapieczętowałem opłatkiem i pobiegłem co najprędzej wręczyć panu Antoniemu Łukaszewiczowi,

przyłączywszy ślicznych parę szkaplerzy klasztornych, które mi dała raz panna zakrystijanka u Bosaczek, za moje posługi.

Powracam do klasztoru, tylko co wszedłem do celi, aż tu słyszę piorunujące zapytanie: — Gdzie błaźnie byłeś? — Myślę sobie, to plag pieć, mniejsza oto. — Byłem na rybnym końcu, bo powracając od Mowszy, znalazłem ze swoich stron przyjaciela z wozem na targu. Musiałem z nim pomówić i wręczyć listek do swoich krewnych. — Do jakich krewnych? — Do ciotki Marjanny. — Aha! do Marjanny! — I stanął odedrzwi, potem wyjąwszy urywek mego biletu zepsutego, który przez pośpiech zapomniałem schować, krzyknął: — A to co? hultaju! Tak ty to się uczysz, abyś takie plugastwo bazgrał i niesłychane brednie! O zepsuty żaku, ja cię nauczę; odejdzie ci ochota, póki żyjesz, myśleć o Marysiach! — Wyszedł i drzwi na klucz zamknął, wtem na obiad zadzwoniono. Myślę sobie, pójdzie do refektarza, a ztamtąd przyprowadziwszy dwóch dobrych potrzymaczow, daż on mnie tutaj cięgi..! Spojrzałem pod łóżko; flaszka suchuteńka. O Boże! zawołałem, ratuj mię, zasiecze ten okrutnik tak jak poprzednika mojego, świętej pamięci Janka Paprockiego..; gdyż wiedziałem, że po takich śniadaniach, szczodrość jego w sypaniu bizunow niepomału wzrasta. Otwieram okno, mierzę okiem wysokość: trzy

piątra podemną! śmierć nieuchronna gdy skoczę. Spojrzę w górę, aż gzéms nad samem oknem; co tu robić? ryzkować trzeba życie, które już i tak nie pewne: po ramie otwartego okna wlazłem na gzéms i na dach, wyjąłem kilka dachówek i jużem był na poddaszu ogromnego klasztoru, gdziem się zupełnie widział bezpiecznym, ponieważ wiedziałem wszystkie kryjówki, łażąc często po wróble gniazda. Przeszedłem na skrzydło przeciwległe i z pod dachówek widzieć mogłem dziedziniec i okna mieszkania mojego Profesora. Niebawnie postrzegłem jak biegał po celi, zaglądał z okna i ludzie zszedłszy na doł, szukali śladu mojego wyskoczenia oknem. Na poddaszu nikt mię nie szukał. Dorozumiałem się z ruchu ludzi i księży na dziedzińcu, że sądzono o mojej ucieczce przez okno na doł. Siedziałem aż do zmroku na poddaszu, spałem sobie z biedy, zalazłszy w ciasny kątek, i miałbym najpiękniejsze sny, gdybym nie był głodny. Aż do ciemna nie odważyłem się z poddasza wyruszyć. Świadomemu wszystkich przesmykow nie trudno było wymknąć się z klasztoru; udałem się do ojcow Dominikanow, upadłem do nog księdza Przeora, któremu opowiedziałem całą przygodę moje, prosiłem o przytułek do czasu nim się udam do swoich. Znałem ja tego księdza i wiedziałem o jego nienawiści przeciw Jezuitom: pewny przeto

byłem iż znajdę w jego klasztorze schronienie, choćbym największą psotę popełnił u Jezuitów; gdyż były częste przykłady takich emigracij z jednego do drugiego klasztoru. Przeor kazał mi sobie opowiadać o wszystkich szczegółach mojej przygody, o różnych postrzeżeniach klasztornych, zwłaszcza o ratafji i skutkach tych śniadań kryjomych. — Śmiał się tak mocno, że ogromny brzuch jego wzdymał się jak miech kowalski. — Jak się zowiesz? — Jakób Bieńkiewicz, szlachcic Oszmiański — Bądź dobrej myśli, panie Jakóbie, zostaniesz u nas póki chcesz, nie pożałujemy ci chleba, jednakże na miasto nie wychodź, bo cię porwać mogą ci tyrani młodzieży. — Przenocowałem w izbie zakrystijanczykow, nazajutrz wysłuchawszy przededniem mszy ś. i odprawiwszy spowiedź, poszedłem ucałować stopy ojca Przeora, dziękując za gospodę: dał mi stary kapelusz i złotówkę na drogę, a u fórty dopędziwszy mię braciszek, włożył na plecy torbeczkę z chlebem, sérem i kawałem pieczeni. *Deo gratias*, rzekłem, i upadłszy na kolana przed wielkim obrazem jakimś na którym był, ile pamiętam, świat, Dominikan, pies i pochodnia namalowane, zmówiłem pacierz. Jednym zdaje mi się skokiem, już byłem za miastem. Mędrszy wprawdzie jak przyszedłem, bo mi lat sześć wieku przybyło, jednakże lubom już do Retoryki chodził,

porachowawszy się z sobą, oprócz pisać, czytać, liczb i trochę łaciny, nic więcej w głowie mojej nie znalazłem pożytecznego. Nauki bowiem tamtoczasowe, tak były zaniedbane, jak wszystko w tej nieszczęśliwej pod Augustami Polsce, gdzie nie było ani króla, bo siedział w Dreźnie; ani rządu, bo sejmy nie dochodziły; ani wykonania praw, bo magnaci wyżsi byli nad prawo; ani policji, bo szlachcic to zuch. Panowie im bogatsi, tem więcej pogardzali i nauką i rządnością w kraju; do tego doszło, że wstyd byłby żeby który magnat umiał swoją ręką list napisać; podpisywali się nawet jak z umysłu pismem, które my w szkołach grzebaniem kurzem nazywaliśmy. *Rzeczpospolita stoi nierządem!* hasłem było powszechnem. Wojska mało trzymano, bo szlachta podatków nie płaciła, a dobra narodowe wyniszczali starostowie. Ani handlu, ani przemysłu, ani sztuk pięknych już śladu prawie nie było w kraju. Żydki panoszyli się, panowie rujnowali się na zbytki i odzierali żydow. Szlachta prawowała się. Duch militarny naddziadow dawno już był w mogile. W takiem odrętwieniu rzeczy, co za widok dla młodego człowieka? Co mnie czekało w okolicy mojej do której na nieszczęście Marysia, jak magnes-żelazo, ciągnęła mię jeszcze? Trzeba orać, kosić i zapomnieć wszystkich innych nadziei, które mi moja uczoność

wyobrażała. Pogrążony w tych myślach, zaszedłem pod karczmę o milę od miasta odległą, siadłem na ławce przyściennej, dobyłem torby i zacząłem się posilać; nareszcie poszedłem dalej, śpiewając sobie psalm, tłumaczenia Jana Kochanowskiego, jeden z najdobrańszych któreśmy odśpiewywali w gronie chudeuszow czyli pauperow podczas wesołej chudopacholskiej biesiady, gdyż śpiewy światowe, choćby najniewinniejsze, srodze młodzieży szkolnej zabronione były:

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże,
Któż się Twej chwale wydziwować może,
Kto imieniowi! którem niezmierzony
Ten świat stworzony, it d.

Zaledwie skończyłem pierwszą strofę, posłyszałem tentent koni za sobą, i ujrzałem nadjeżdżającego pana, konno, z gwiazdą na sukni, rumianej twarzy, z oczymi podbrzękłemi. Stanąłem na boku drogi i zdjąwszy czapkę, pokornie się ukłoniłem jaśnie wielmożnemu panu. — Panie Student, gdzie cię Bóg prowadzi? wybornie śpiewasz. — Idę, Jaśnie wielmożny Panie, w swoje strony, ukończywszy zawod mój naukowy. — Jak się nazywasz i dokąd idziesz? i ruszył koniem i kazał mi iść przy sobie. — Jestem szlachcic oszmiański, Jakób Bieńkiewicz, byłem pauperem i jestem gorzej jak pauperem, bo ani kąta ani zagona nie posiadam, prócz serca pięknej Marysi,

córki pana Piotra Łukaszewicza, dziedzica posiadłości na półbeczki usiewu i jednego wołu (*) — Panie kochanku, Waść osieł jesteś myśleć o Marysi w tak młodym wieku! Za to trzeba w skórę i do szkół na powrót odesłać. — Toż to i jest, Jaśnie oświecony Panie, że trzy rzeczy widząc przed sobą, kańczuki księdza profesora retoryki, byłego dobrodzieja mojego; szkoły z których nie wiele więcej, nad to co umiem, obiecuję sobie, i Marysię, obrałem ostatnią jako najłagodniejsze *remedium*. — Ha, ha, ha! śmiał się do rozpuku mój magnat, potem rzekł: — Słuchaj, panie kochanku, podobałeś mi się, jedź ze mną do Jaszun, żałować nie będziesz. — Zdjąłem czapkę, uścisnąłem strzemię pańskie, podano mi powodnego konia, i pojechaliśmy na trakt jaszuński. Pan był wybornego humoru, śmiał się i rozmawiał z dworzanami swoimi, którzy na przeryw błaznowali przed nim. Przybywszy na miejsce, oznajmiono mi, że się znajduję w liczbie dworzan Jaśnie oświeconego Księcia Wojewody Wileńskiego, dano mi parę sukień, pas, czapkę, szabelkę i dozwolono stawić się przed obecnością pańską. Poszedłem podziękować i powiedziałem komplement,

(*) Szlachta okoliczna, szczególnie w powiecie Oszmiańskim, dzieląc się ojcowskim spadkiem, do tak drobnych przychodziła czasem posiadłości, że grunt zarabiały dwie lub trzy chaty jedną parą wołow.

ile się tylko zdobyć mogłem na wyrazy. — Panie kochanku, panie Jakóbie Bieńkiewiczu, proszę mię kochać, a nie zbędzie ci na niczem; rok proby przy boku moim, zrobić może dla Waści sposob na całe życie, jeżeli mi wiernym i przychylnym być zechcesz. — Powtórzyłem moje oświadczenie poświęcenia się na wierne usługi, dodając że przywiązanie moje do pańskiej osoby, od pierwszej chwili powzięte, z życiem się mojem chyba zakończy. Lubił książe słuchać moje opowiadania, i zawsze wieczorem po łowach, które obecnie były jego zabawą, leżąc w pościeli przywoływał mię do siebie, i kazał sobie szczegóły życia mojego i innych pauperow opowiadać.

Nie będę opisywał tego pana, znanego dobrze zkądinąd w naszym kraju, powiem tylko, że trzy lata na dworze jego przepędzone, były ciągłą dla mnie festyną: że wesołe podróże, szumne biesiady, monarsze życie, wystawne obchody, uroczystości dworu, łowy zadziwiające przepychem i ogromnością, przeplatały życie jego. Można sobie wyobrazić ile utrudzającą była służba przy boku takiego biesiadnika. Im zaś kto był bliższym jego osoby, tem więcej na utrudzenia znajdował się narażonym. Trzeba było pić i nie być pjanym, nie dospać, nie dojeść, jak mówią, i nie okazać utrudzenia ani posępności, ani głodu po

sobie. Właśnie w tej porze zaszło bezkrólewie, stan fermentacji narodowej, stronnictw, intryg, spekulacji osob interessowanych, a temi byli wszyscy prawie magnaci. Przybyło do Nieświża kilku senatorow litewskich, tudzież pewien magnat wielkiego znaczenia. Szła rzecz o skłonienie księcia do stronnictwa z pewnym dworem zagranicznym trzymającego, któremu on nie sprzyjał. Namawiali, durzyli, straszyli; nic nie pomogło: wkońcu książe, znienawidziawszy skrycie tego magnata, odezwał się raz do nas: — Dałbym, panie kochanku, niewiedzieć co temu, ktoby mu nosa długiego przyciął. — Kiedyśmy, jak było we zwyczaju, potakiwali panu, odezwał się: — Ale w moim domu wara! Trzeba czas wybrać i miejsce za płotem... Rozumiecie? —

Zdarzyło się wkrótce, że książe był zaproszony na łowy wołyńskie, przez jednego senatora; nie pojechał jednak domyślając się, że stronnictwo niezgodne z jego sposobem widzenia, tam się zbierało. Ale posłał część psiarni swojej i dworskich, w których liczbie i mnie się znajdować zdarzyło. Polowaliśmy do upadłego, ów znienawidziany magnat był bardzo czynny. Niejakimś trafem stojąc na przesmyku, przepuściłem lisa, a zamiast zwierzęcia zastrzeliłem rudą faworytę jego charteczkę, która za lisem wpadła była do kniei. Nieszczęście nad nieszczęściami! Magnat

rozdąsany przyskoczył na koniu do mnie i począł kroić harapem po plecach. Odskoczyłem i mówię: — Czy to żart czy złość, ale zawsze głupstwo Jaśnie wielmożnego Pana. — Poprawię ja, rzecze, to głupstwo, kiedy cię każę wyciągnąć i sto bizunow odliczyć. — Słuchaj ty, nosalu, powiedziałem, gdybym nie szanował gościnności Jaśnie wielmożnego Wojewody, odprawiłbym ja ciebie do wszystkich djabłow... Jak ty śmiesz rękę podnosić na szlachcica oszmiańskiego równego każdemu, i jeszcze tak bezecne czynić odgróżki..!.. Porwał się do szabli zmierzając z koniem ku mnie, ale jak palnę z fuzji koniowi pod nogi, to się wspiął i całą tuszą jezdzca przywalił. Nie było czego więcej czekać, wpuściłem kulę do strzelby, tak aby obecni widzieli, i poszedłem w las. Już w takim razie mnie nie do swoich, pomyśliłem sobie. Udałem się więc do pana S. mojego przyjaciela, dworskiego inwalida naszego księcia. Tam przechowując się czas niejaki, dowiedziałem się, że książe rad był niezmiernie z mego postępku, a magnat obrażony kazał mię ścigać na zaboj. Kiedy rzeczy te spowszedniały trochę, gospodarz mój pojechał do księcia z przeprosinami odemnie, których skutkiem była darowizna w sukniach, koniach i dwieście dukatow pieniędzmi; lecz obok tego zalecenie, abym się wydalił z Litwy, najlepiej na Podole, i nie pokazywał po sobie,

żem gniewu książęcego nie stał się winnym. Pan S. obmyślił mi też miejsce w województwie Bracławskiem, u jednego z krewnych swoich, który właśnie potrzebował komisarza. Tam się udałem cichaczem, z jednym sługą dróg ubocznych świadomym, na wozku parokonnym. —

(Dokończenie nastąpi.)

SEJMIKI POWIATOWE.

(Ciąg dalszy.)

AKT 2-gi.

(Tenże salon co i w pierwszym)

SCENA 1-sza

STAROSTA, PODSTOLINA, PODKOMORZY, STRUKCZASZY I OBYWATELE.

(Starosta, Podstolina, Podkomorzy i Strukczaszy, siedzą na przodzie teatru, inni goście stoją, siedzą lub przechadzają się na drugim planie, bawiąc się po cichu rozmową między sobą, i czasami tylko zbliżają się ku nim. Kilku z nich grają w sztosa przy jednym ze stolikow bokowych w samej głębi)

STAROSTA.

Ołoż, jakem powiedział, prześwietni Panowie,
Musimy podnieść rokosz przeciw naszej głowie,
Przeciwko Marszałkowi. Lecz w tem jego wina.
W jego to dumie naszych zażaleń przyczyna.
Kiedyśmy go wybrali j. dnomyślnie prawie,
Było to z naszej strony aż nazbyt łaskawie;

Bo, jużciż prawdę mówiąc, jakież miał zasługi?
Na urzędach mniej ważnych spędził czas niedługi;
Popularność niewielka, choć włości obszerne;
Pracowitość — jak czasem; talenta pomierne;
Uczciwość — o tej nikt z nas nie wątpi, nie pyta,
Bo ta jest szlachcicowi z rodu pospolita —
Czegoż się więc tak puszyć, tak wspinać nad innych,
Liczyć prerogatywy do przesądow gminnych,
Cytować nam Potockich, Czackich, Kołłątajow,
Jakby z pogardą dawnych szlacheckich zwyczajow?
Tak, tak; nasz pan Marszałek okrutnie coś spaniał. —
Mówi: — kto wart urzędu, pocożby się kłaniał.
Dalejże my go prosić, witać z chlebem, z solą,
On zaś *pro forma* rzekłszy, jak ów Opat: *nolo*!
Przyjmuje na ostatek; dopieroż dziękować
I składkowym obiadem *libenter* częstować.
Każą nam wkońcu bramy wznosić tryumfalne...

(*Podkomorzy, Strukczaszy i niektórzy obywatele śmieją się*)

Otoż to mi maxymy piękne, socijalne!
Jakby prośba do braci krzywdziła szlachcica;
Lecz taka uniżoność owszem go zaszczyca:
Hodie mihi, cras tibi, bośmy wszyscy równi. —
Gdzie tak myślą, niezgoda nie wstrząsa swych głowni,
Wybory idą ładem, a choć się poswarzą,
Na głos przyjacioł strony znowu się kojarzą.
Kiedy więc tych pożytkow prawo nam nie wzbrania,
Kto idzie do urzędu niech się wszystkim kłania.
Czy zgoda na ten wniosek? —

PODSTOLINA.

Zgoda!

STRUKCZASZY.

Zgoda!

WSZYSCY OBYWATELE.

Zgoda!

PODKOMORZY.

Dawniej się na sejmikach kłaniał Wojewoda.

STAROSTA.

Gdy ten wniosek przyjęty, obwarujmy zatem
Nie obierać odtąd per unanimitatem.
Oj, ta pozorna jedność wielkie robi licho:
Kilku woła: — prosimy! kilkudziesiąt — cicho,
Gryzą język, bo grzeczność usta im zamyka:
Zgodzą się *nolens volens* wybrać przeciwnika.

PODSTOLINA (*cicho do Starosty*)

Pocoż tu mieszać słowa łacińskie czy greckie?
Waćpana mowa dla mnie kazanie niemieckie.
Ja przecie chcę rozumieć.

STAROSTA (*rusza ramionami i dalej mówi*)

To systema szkodne
Wylęgło z łona pychy i w złe skutki płodne.
Nasz Marszałek je lubi: za każdym sejmikiem
Chciałby, bez wotow, jednym rzecz kończyć okrzykiem.
Jest to przeciwna prawu i zła bardzo moda —
Głośmy że na nią ..

PODSTOLINA.

Zgoda!

STAROSTA (*z gniewem*)

Nie...

OBYWATELE (*z głębi teatru*)

Zgoda!

STAROSTA, PODKOMORZY, STRUKCZASZY.

(*razem*)

Nie zgoda!

STAROSTA (*do Podstoliny*)

Że też Waćpani zawsze zrobisz zamięszanie.

PODSTOLINA.

Czysta napaść.

PODKOMORZY.

Waćpana Dobrodzieja zdanie
Przyjęte jest od wszystkich.

STRUKCZASZY.

Wątpliwości niema.

STAROSTA (*ukłoniwszy się*)

Chwała wam, jeśli takie zwalicie systema.
Zmięszają się stronnikow Marszałkowskich szyki,
Wniosek nasz ich obruszy, podniosą okrzyki,
Lecz my tej burzy opor dostateczny damy.

JEDEN GŁOS (*z głębi*)

Nic nie damy!

(*niektórzy śmieją się*)

STRUKCZASZY (*głosem Stentora*)

Panowie! słuchajcie!

WIELE GŁOSOW.

Słuchamy!

PODSTOLINA (*cicho do Starosty*)

Pięknie słuchają — gwarząc jakby na teatrze.

STAROSTA (*cicho*)
Byle zgoda, na resztę ja przez palce patrzę.
(*głośno*)
Otoż na fundamencie zdań nowego kroju,
Marszałek mniema że się mu uda, w pokoju,
Wynieść pana Podsędka na Sędziego Grodu.
„Człek, mówi, dobry“ Na to nie żądam dowodu.
Wszyscy go znamy takim, ale tego mało:
Na poczciwych nam nigdy, wiecie, nie zbywało.
„Zna prawo“ — I to prawda, lecz tej znajomości
Nie wadziłoby, więcej mieć popularności,
A pan Podsędek siedzi jakby mnich za kratą,
Niezły ma jednak fundusz, wziął żonę bogatą,
Tymczasem któż u niego wypił sklankę wina?

PODKOMORZY.
Wielka wina.

STRUKCZASZY.
O, bardzo wielka.

JEDEN GŁOS.
Wina!

KILKA GŁOSOW.
Wina!

PODSTOLINA (*cicho do Starosty*)
Oni się przymawiają.

STAROSTA (*cicho do niej*)
Przyjdzie to z kolei.
(*głośno*)
Mówiłem, że Marszałek pełen jest nadziei
Utwierdzić swe systema wyborem Podsędka:

Bo, wierzajcie, ten wybor — o, to na nas wędka.
Czemuż chce dać nam jego? — bo niepopularny!
Dowiedźmyż Jegomości że ten plan jest marny,
Że jeszcze w nas szlachetna duma nie osłabła,
Że nasz kandydat idzie i śmiało...

JEDEN Z GRACZY KARTOWYCH (*w głębi*)

Do djabła!

STAROSTA (*wskakuje*)

Kto to mówi?

STRUKCZASZY (*wskakując*)

Któż tam, ten Judasz Iskarjota?

PODSTOLINA (*wącha z flaszeczki*)

Słabo mnie.

PODKOMORZY (*wstając*)

Dobyć szabli bierze mię ochota.

JEDEN Z GOŚCI (*do Starosty*)

Niech się Pan uspokoi, to *quid-pro-quo* znaczy,
Że w sztosa dużą stawkę przegrał jeden z graczy,
On nie słyszał słów pańskich.

STAROSTA (*odetchnąwszy siada*)

Czy tak?

DRUGI GOŚĆ.

Niezawodnie.

PODKOMORZY (*siada*)

Bo teżby po tebinkach wziął za taką zbrodnię.

PODSTOLINA (*do Strukczaszego*)

Wyraz ten w mej pamięci nie łatwo się zatrze.

(*do Starosty z cicha*)

Szulerja, tu...

STAROSTA (*cicho z niecierpliwością*)
Mówiłem że przez palce patrzę.
(*głośno*)
Wróćmy przeto do rzeczy. Nasz kandydat śmiało
Idzie, a czemu? — bo się wam prześwietni zdało
Przyjąć jego suplikę i chęci powolne:
Tak postępować zwykły zgromadzenia wolne;
Każą służyć i każą za to się pokłonić.
Zwyczaj patryarchalny. — Słodką łzę uronić
Na taki miły obraz poniewolnie muszę.
(*ociera oczy*)

PODKOMORZY.

To mówca złotych wieków.

STRUKCZASZY (*uciera nos*)

Wskroś przeszywa duszę!

STAROSTA.

Prosi więc pan Podstolic o łaskawe wota...
(*ogląda się niespokojnie*)
Służyć wam, serce jego napełnia ochota...
Prosi i matka..
(*daje znak Podstolinej i dzwoni*)

PODSTOLINA (*wstaje i dyga*)

Proszę za mym jedynakiem.

STAROSTA.

Ja nakoniec, rodakow proszę za rodakiem
A łaskawych przyjacioł przyjaciel zaklina
Na pamięć niezachwianych związkow...
(*Józef wszedł tymczasem i zbliżywszy się z tyłu do Starosty, skłonił ku niemu ucho*)

STAROSTA (*do Józefa cicho*)

Przynieś wina.

(*Józef odchodzi a Starosta obraca się do Podstoliny*)

Czemuż Podstolic w tem się nie znajduje gronie?

PODKOMORZY.

Widziałem go za miastem, ujeżdża swe konie.

STAROSTA (*do Podstoliny*)

Mógłby to był odłożyć.

PODSTOLINA.

Młodemu wybaczą.

STAROSTA.

Niech Panowie zastępstwo moje przyjąć raczą.
Jak go posadzą za stół, a fałdow przysiedzi,
Będzie innym. — Z Podstolim byliśmy sąsiedzi,
Świeć mu Panie, był człowiek — choć przyłoż do rany.

JEDEN Z OBYWATELI (*z cicha do drugiego*)

Aleź za to żonula i synal kochany! —

STAROSTA.

Cnoty jego w potomku uwieńczcie nagrodą.
Przykłady ojcow, dobrą dzieci drogą wiodą:
Przez ciąg wiekow dom taka zaszczyca pamiątka —
Podstolica, widziałem, że zajmuje...

JEDEN Z GRACZY (*w głębi*)

Piątka!

(*śmiech w około Starosty*)

STAROSTA (*zmięszany trochę*)

Zajmuje — chciałem mówić — żądza tylko jedna
Służyć braciom — nadzieja że ich łaski zjedna —
Otoż to mię ośmiela raz jeszcze was błagać.

PODSTOLINA (*cicho*)

A ja czy mam w tych prośbach Waćpanu pomagać?

STAROSTA (*cicho*)

Mnie to Waćpani zostaw.

(*głośno*)

Szanowni mężowie,

Los młodzieńca na jednem waszem zawisł słowie,
Niech, atoli, tu nie ma wpływu ma powaga,
Wasza wola jest prawem — niech ona przemaga.

PODKOMORZY.

Pan tego żądasz? — Zgoda.

STRUKCZASZY (*krzyczy*)

Prosiémy!

WSZYSCY.

Prosiémy!

JEDEN Z OBYWATELI (*w głębi do innych*)

O czem tam była mowa?

DRUGI.

Dalibóg nie wiemy.

(*Józef wchodzi z butelkami i kieliszkami, i przy pomocy lokaja oraz pacholika nalewa wino i rozdaje gościom*)

STAROSTA (*podnosząc kielich w górę*)

Wiwat prześwietne grono!

WSZYSCY.

Dowódzca niech żyje!

(*piją, a służba napełnia znowu wypróżnione kieliszki*)

PODSTOLINA (*na stronie odstawując z gniewem swój kieliszek*)
A mego zdrowia żaden z tych gburow nie pije.
(*Długa pauza, śród której Starosta krążąc po salonie kłania się, ściska i żadnego z gości nie pomija bez okazania mniej lub więcej przymileń*)

PODKOMORZY (*do Starosty*)
Czas już będzie pożegnać mego Dobrodzieja
Zejdziemy się na sali. Mnie cieszy nadzieja
Wygranej.

STAROSTA.
My w ich łasce naszę pokładamy,
A więc do zobaczyska. (*ściska go*)

STRUKCZASZY.
Do nog upadamy.
(*wszyscy kłaniają się i wychodzą, Starosta odprowadza gości aż za drzwi*)

SCENA 2-ga.

STAROSTA, PODSTOLINA, JÓZEF.

STAROSTA (*oddychając*)
Doszliśmy, dzięki Bogu, szczęśliwie do celu.
W tej partji było nawet konkurentow wielu.
I gdybym zręcznie rzeczy nie umiał nastroić,
Podbić serca wymową, a zazdrość rozbroić,
Kto wie?..,

PODSTOLINA.
Moja też pomoc nie była daremną,
Bo oni wszyscy prawie są w przyjaźni ze mną.

STAROSTA (*wątpliwie*)

Być i to może — chociaż — lecz już rzecz skończona.
Pójdźmy zobaczyć co też robi moja żona.
Mam bo wiele kłopotu względem naszej Klary:
Kapitan Walecznicki psuje me zamiary;
Chłopiec raźny. Broń Panie, głowę jej zawróci,
To będzie bieda.

PODSTOLINA.

Niech to Waćpana nie smuci.
Kapitan ani myśli kochać tej dziewczyny;
Są to czyste chymery pani Starościny,
Ręczam.

STAROSTA.

Może to być, jednak niebezpieczny.
Idźmy.

(*podaje jej rękę*)

PODSTOLINA.

Dla mnie, Kapitan bardzo, bardzo grzeczny.—]

STAROSTA (*uśmiechając się*)

Trzeba nam *pro et contra* obrachować woła.
(*odchodzą do pokoju Starościny*)

SCENA 3-cia.

JÓZEF (*do służby*)

Wynieście to szkło próżne.
(*Służący zabierają iwychodzą, on ustawia meble*)
Skończona robota.
A kto wie czy skończona? — Tutaj przy kielichu
Wybrali tego smyka — lecz tam, gdy po cichu

Gałeczki rzucać będą, a nikt już nie zoczy
Jak się z nich która w prawo czy w lewo potoczy —
Oj, tam źle nam zapłacą może za węgrzyna.
(postrzega kieliszek pełny na stoliku)
Patrz-no, ten kieliszek, rzekłbyś, Podstolina
Zostawiła tu dla mnie... Czy nie za busiaka?
(pije)
Niezłe — choć nie tak mocne i myszka nie taka —
Bośmy przylać musieli maślaczku — Tak bywa.
Gdy z łaski marnotrastwa, fundusz dogorywa.
(odchodzi z próżnym kieliszkiem)

K. Bujnicki.

LISTY

DO PRZYJACIELA Z DRUSKIENIK.

List czwarty.

Tak dawnom nie pisał do ciebie, a tyle przedmiotow różnorodnych, uczuć i wrażeń tu doznanych radbym ci udzielić i opisać, że nie wiem nawet od czego najlepiej zacząć, ażeby ci choć słabe dać wyobrażenie o tych Druskienikach tak oryginalnych i niepojętych w czasie ich efemerycznej wprawdzie, ale zadziwiającej świetności. Ten ruch bezustanny, ludność jakby razem z ulewą tegoroczną z obłokow spuszczona, rozmaitość zamiarow, celow i dążności, czyni to miejsce powabnem nie tylko dla chorych, bo tu o nich Pan Bóg i Doktorowie tylko wiedzą; ale dla młodzieży kwitnącej zdrowiem, dla filozofow zgłębiających serca ludzkie, dla poetow, dla kochankow szczęśliwych i nieszczęśliwych, dla kandydatow do miłości lub do rozwodu, dla gospodarzy znudzonych jednostajnością wiejską, dla spekulantow, słowem dla ludzi każdego

bez wyjątku stanu i wieku. Ja nawet, chociaż nie w zamiarze uleczenia moich cierpień przybyłem, znajduję tutaj godziny roztargnienia, owszem nawet niekiedy czułem się zupełnie szczęśliwym zapominając o sobie, o ludziach i o przeszłości, jak słuchacz mistrzowskiego wykonania ulubionej sobie muzycznej sztuki, w artystowskiem zachwyceniu przenosi się do świątyni Izydy, słyszy tajemnicze tony przyrodzenia, które go mimowolnie wznoszą nad poziom prozaicznego życia. I ja przynajmniej doznane chwile słodkiego uniesienia w Druskienikach, winienem nie skutkom słonej wody, ani też zabawom krzyżującym się tu codziennie w najrozmaitszych postaciach, ale błogiemu wpływowi muzyki, której miłośnik i znawca pobyt swój u źródeł często uprzyjemnić może. Nie wiem azali muzyka nie stanowi także ogniwa tego łańcucha uniwersalnego leczenia, który tu rzeczywiście zadziwiające okazuje skutki, i czyli nie dlatego w Druskienikach więcej aniżeli gdziekolwiek w naszym niemuzycznym kraju, lekarstwa tego kosztować można. Oprócz codziennego i ciągłego prawie odgłosu orkiestry Theimera, słyszeliśmy tu kilkokrotne koncerta znanych powszechnie talentów. Krakowianin P. Rajczak, okazał wiele łatwości i sztuki na tak niewdzięcznem i trudnem narzędziu muzycznem, jakiem się trąbka chromatyczna być zdaje.

Koncert na fortepjanie bez towarzyszenia orkiestry, w którym niezwykłą biegłość i wiele smaku okazał znany artysta Czapek, dał nam poniekąd wyobrażenie, jak silnie ten instrument działać może na umysł pod ręką uwielbianego Liszt'a. Ale najsłuszniej podobno zasłużyła na liczne oklaski Panna Józefowicz, która przed publicznością Druskienicką usprawiedliwiła nieszczędzone dla siebie w Tygodniku Petersburskim pochwały. Skrzypce, instrument w ogólności tak rzadko dla płci pięknej przystępny, w ręku tej ośmnastoletniej dziewicy, zdaje się być bawidłem, rozlewającem na jej skinienia dźwięki słodkie i namiętne, albo znowu ogniskiem, z którego mistrzyni trąceniem czarodziejskiej rószczki, wyprowadza i przelewa w wyobraźnią słuchaczow promienie uczuć i genjalnych myśli autora. Mamy nadzieję, że znamienita artystka i w następnych latach zechce ustalać i rozszerzać sławę swoje w okolicach rodzinnych, gdzie dotąd jeszcze zbyt mało znaną była. Ztemwszystkiem, jednak wyznać musimy, że publiczność nasza dla muzyki niejakiś wyłączny rodzaj współczucia okazuje; często bowiem zdarza się nam w czasie najpiękniejszych, najpoetyczniejszych przejść i zwrótow, słyszeć tu i ówdzie niemiłosiernie *crescendo* podnoszone szepty i rozmowy, do których rzekłbyś, że zachęca muzyka drażniąc nie tylko

tępy słuch mężczyzn, ale i delikatny organ płci pięknej, co zapewne przez sympatją podnosi czynność nerwow i muskułow języka.

Większą liczbę zwolennikow znajduje u nas teatr. W tym roku zwłaszcza, truppa drammatycznych artystow z Wilna do Druskienik przybyła, lubo przy miernych zdolnościach, wiele dobrych okazała chęci; ale najszczerszą wdzięczność jej oświadczamy za szczęśliwy pomysł wzmocnienia słabych sił swoich, połączeniem się z dyrektorem baletu P. Morys, którego piękny talent służył za najprzyjemniejszą zaprawę przedstawień drammatycznych. Oprócz wielu innych baletow układu P. Morys, *Wesele w Ojcowie*, kilkakrotnie przedstawiane, przyjęte było zawsze tak hojnie sypanemi oklaskami, jakich dotąd jeszcze teatr Druskienicki nie słyszał. Mimowicie zaś okazali niepospolite zdolności sam dyrektor P. Morys, tudzież Pani Koss, któraby na scenie pierwszych baletow świetnieć mogła. Nadzwyczajna łatwość i wdzięk w wykonaniu trudnych i pracowitych passażow, miękkość i urok jaki umie nadawać ruchom rozmowy mimicznej; tudzież udatne i powabne kształty, mogłyby tę artystkę sprawiedliwie jeśli nie równać to przynajmniej zbliżać do talentu europejskiej sławy P. Taglioni.

Jeżeli jednak teatr dosyć był uczęszczany, sala resursowa nieskończenie większe

obejmowała zebrania. Zdaje się że duch towarzystwa naszego miejsce to, za najmilszą obrał sobie świątynię. Trudno wszakże byłoby oznaczyć, azali prawdziwe upodobanie w tańcu, czy raczej upodobanie w świetnem zgromadzeniu i chęć wystąpienia, przemaga w tych zabawach. Jeśli udziałem jest naszym dążyć do doskonałości, coż dziwnego że piękność szuka jeszcze upiększeń i że potrzebuje przedmiotow, od którychby się mógł odbijać odblask jej promieni! Winienem bowiem przyznać że małoby miejsc znaleźć można, gdzie jak w Druskienikach, płeć piękna do przymiotnika swego tak słuszne w ogólności prawo rościć może. Nieraz wchodząc na salę, wzrok mój tak niezwykłym uderzony był blaskiem najrozmaitszych piękności, że mi się zdało wstępować do czarownego grona owych dziewic doliny Adama; albo siedząc na stronie zadumany przy odgłosie walcow Lanner'a lub Sztraus'a, mniemałem widzieć przed sobą poruszenia systematu światow. Tysiące planet jaśniejących nadziemskim blaskiem i ogoniaste komety, jednostajnym ruchem pędzone wszechwładną siłą harmonji, krążą do koła sali, otoczone wonną atmosferą. Niekiedy nawet słońca, nieposłuszne prawom Kopernika, też samą odbywają drogę, a blaskiem swoim oświecają siedzące na krzesłach padoły płaczu. Wszakże wirowy ruch

walca nieczęsto w Druskienikach widzieć się daje, dlatego zapewne że się zwykle wzbrania przy wodach mineralnych. Kontradans powszechnie przez doktorow zalecany, niewielu znajduje miłośnikow; niekiedy tylko dla mody cierpiany i od niechcenia wykonywany, służy za wypoczynek po tańcach bardziej ożywionych. Ochoczy Mazur, częstokroć ze trzydziestu i więcej par złożony, najwięcej zwykle czasu w tych zabawach zajmuje, a częsta sposobność prowadzenia w nim swobodnej z lubym przedmiotem rozmowy, na koniec wrodzony prawie, że tak powiem, popęd nasz do tego tańca, czyni go ulubieńcem resursowych towarzystw. Ale po raz pierwszy jeszcze ujrzała w tym roku sala nasza nowo wprowadzony i w całej Europie z oklaskiem przyjęty taniec *Polkę,* ochoczy i tchnący wdziękiem, jakiego zapewne ani ponurość angielska, ani systematyczna trzytaktowość Niemcow ani nawet lekkość Francuzow naśladować nie zdoła. Polonez i Polka są to dwie ostateczności stanowiące granice wszystkich tańcow, których już nie przekroczy żaden wynalazek salonowy. Ktokolwiek był na zebraniach Druskienickich, przyzna łatwo, że nic piękniejszego jak widzieć piękne Polki tańcujące *Polkę,* zwłaszcza z nieobojętnym dla siebie przedmiotem, unoszące się swobodnie i rozkosznie bez względu na prawidłowe

przepisy, kierowane tylko wesołą harmonją, jak szczęście nasze częstokroć leci szybko i rozkosznie popędem uczuć wiedzione, nim dobiegłszy kresu, w morzu wspomnień przeszłości utonie!...

Ale opisując zabawy resursowe, nie podobna mi ominąć towarzystwa extra sali, tojest zwyczaju w Druskienikach tak oryginalnego i nowego, że nietylko u żadnych innych wód mineralnych, ale nawet nigdzie pod słońcem nic podobnego nie znajdziesz. Nie mniemaj ażebym ci chciał opisywać bufet, a w nim towarzystwo extańcerzy mężczyzn; tam jak zwyczajnie i wszędzie cygara, fajki, rozmowy rubaszne albo stłumione westchnienia, szampan, porter, kurczęta i. t. d. Towarzystwo które ci mam opisać, znajduje się pod gołem niebem, na piasku, przy odgłosie muzyki zmieszanej z klaskaniem furmańskich biczow. Ażebyś je lepiej poznał i dokoła mógł obejrzeć, wprowadzam cię najprzod na salę. Wchodzisz, a widok jaśniejących tam piękności tak cię na pierwszym wstępie zajmie, że nic więcej przed sobą nie widzisz: ale po chwili uderzają cię przepyszne ozdoby ścian wewnętrznych. W miejscu okien, szesnaście obrazow tak cudownego pędzla, jakiego jeszcze żadna galerja Europy nie posiada, wszystkie w ramach biało pokostowanych, zupełnie do uszakow okien podobnych; w każdym z tych

obrazow dostrzegasz najrozmaitsze, częstokroć prześliczne gruppy kilku lub kilkunastu twarzy, i tyleż par oczu błękitnych, czarnych, szarych lub siwych, ognistych lub mgłą przyćmionych. Lornetka tu niepotrzebna, bo zewsząd możesz się zbliżyć do obrazow... Przebóg! .. wzrok tych oczu pełen takiego życia, jakiego ani pędzel *Rafaela* ani słodkiego *Carlo-dolci* nadać nie zdoła. W gruppach prześlicznych twarzyczek postrzegasz nawet istne portrety osob sobie znajomych... zbliżasz się jeszcze... twarzyczka się uśmiecha, przemawia do ciebie nawet... Zdaje ci się z razu żeś oczarowany pięknością obrazu, boć niepodobna przecię, ażeby osoba pierwszego tonu, zaglądała z ulicy przez okno do sali, w której miejsce dla niej przeznaczone. Lecz nakoniec nastąpi chwila rozczarowania; przecierasz oczy i przekonywasz się że istotnie Pani N. przemawia do ciebie przez okno, obok niej figlarna subretka, z drugiej strony lokaj galonowany, tam żydówka lub kuczer brodaty. Teraz wyjdźmy na ulicę... Przy każdem oknie otwartem lub zamkniętem kilkanaście osob, bez różnicy płci, stanu i wieku, cisnących się z ciekawości widzenia tancerzy. Jaśnie Oświecone i Jaśnie Wielmożne Panie, Imoście, Imościanki, służba rozmaitego rodzaju, żydostwo, słowem istne *pot-pourri* przed oknami resursowej sali. Usłyszysz

w tem towarzystwie komplementa francuzkie, umizgi lokajów, dowcipne odpowiedzi garderóbien i wykrzykniki furmańskie. A jednak oryginalny ten zwyczaj wprowadzony jest od lat kilku w Druskienikach, i dotąd ściśle się zachowuje!

Następną pocztą będę miał jeszcze niemało do pisania o innych zabawach naszych, tymczasem żegnam cię do następnego listu.

Mieczysław.

SPIS RZECZY

w Zeszycie piątym zawartych.

LITERATURA.

ROZMAITOŚCI.

Koniec.

LISTA

OSÓB DO WÓD MINERALNYCH DRUSKIENICKICH W CIĄGU LATA 1844 ROKU PRZYBYŁYCH.

(Ciąg dalszy)

w Miesiącu Sierpniu.

306. WJ. Ks. Józefat Jankiewicz Proboszcz z Kobrynia, w domu W. Staniszewskiego przybył dnia . . . . 5.
307 JO. Książe Engałyczew dymis. Podporucznik, z Witebska, w domu W. Siwickiego. 6.
308. JW. Anna Horohlad Radczyni Stanu, z córkami Emilją i Marjanną Glindziczową, obyw. p. Nowogródz., w domu W. Brochockiego . 6.
309. JW. Felix Jagmin Kamer-Junkier Dworu CESARSKIEGO, obyw. p. Brzeskiego, w domu W. Michaelisa . . . . 6.
310. W. Józef Nejhof Lej obyw. p. Prużań., w domu W. Siwickiego . . . . 9.
311. JW. Rejtenowa Marszałkowa, z dwiema siostrzenicami i W. Rossadowską, obyw. p. Słuckiego, w domu W. Borzęckiego . . . 9.

312. WW. Karwowski i Krupowicz obyw. p. Sokolskiego, w domu W. Hłaski . . . 10.

313. W. Hołowin Porucznik, Adjutant JO. Wileńskiego Wojennego Gubernatora, z Wilna, w domu W. Hryniewicza . . . . 10.

314. W. Zofja Włodkowa obyw. p. Prużań., w domu JO. Księcia Lubeckiego . . . 10.

315. W. Władysław Terejkowski Urzędnik Wileńskiej Magistratury powszechnej Opieki, z Wilna, w domu W. Szawerskiego . . . 10.

316. W. Marjanna Winoberowa obyw. p. Słonim., w t. domu . . . . 10.

317. W. Stanisław Szemiott Chorąży Olwijopolskiego pułku ułanow, ze Słonima, w t. domu. 10.

318. W. Mikulski obyw. p Prużań., w domu W. Hłaski . . . . 12.

319. JP. Müller Mechanik, z Wilna, w domu P. Bagnowskiego . . . . 12.

320. W. Kościałkowska z siostrą, obyw. p. Grodzień., w domu W. Hłaski . . . . . . 12.

321. JW. Paweł Jagmin z żoną i synem, obyw. p. Brzeskiego, w domu JO. Księcia Ogińskiego . . . . 14.

322. W. Strawińska z córką, obyw. p. Słonim., w domu JW. Kiersnowskiego . . . . 14.

323. W. Rafał Kiersnowski obyw. p. Nowogródz., w t. domu . . . . 14.

324. W. Szwykowski z W. Tarajewiczem Lekarzem, obyw. p. Brzeskiego, w domu W. Hłaski . . . . 14.

325. W. Borzymowski uczeń gimnazjum Grodzień., w domu W. Szawerskiego . . . 14.
326. JW. Zejfart z dwójgiem dzieci, Pułkownikowa, z Grodna, w domu Anikiejewa. 16.
327. W. Afanasja Przełożona klasztoru Grodzień., z zakonnicą Leonidą, z Grodna, w domu W. Moraczyńskiego . . . . 17.
328. WJ. Ksiądz Hipolit Homolicki Rektor Seminarjum Litewskiego i W. Bazyli Bieliński Nauczyciel tegoż Seminarjum, z Żyrowic, w t. domu . . . . 19.
329. W. Korkuzewicz obyw. p. Mińskiego, w domu W. Hłaski . . . . 19.
330 WW. Felix Pusłowski i Władysław Trembicki, obyw. p. Prużań., w domu W. Wołyńskiej . . . . 19.
331. W. Rogoziński obyw. p. Słuckiego, w domu W. Zembrzyckiego . . . . 19.
332. WJ. Ksiądz Boryczewski Protojerej, z Grodna, w t. domu . . . . 19.
333. W. Józef Dudziński, z Grodna, w domu W. Michaelisa . . . . 19.
334. W. Borkowska Radczyni Dworu, z Grodna, w domu W. Zembrzyckiego . . . 21.
335. W. Felix Żukowski obyw. p. Lidzkiego, w domu W. Siwickiego . . . . 22.
336. W. Cypryjan Czerniawski obyw. t. p, w t. domu . . . . 22.
337 W. Aleksander Dowgird obyw. t. p., w t. domu . . . . 22.

338. W. Gedyminowa Radczyni Dworu, z synem i siostrzenicą Panną Dadyńską, z Wilna, w domu W. Zembrzyckiego . . . . . . 26.
339. W. Rottenhruber Kapitan Korpusu Komunikacji drog, z Bobrójska, w t. domu . . 31.

w Miesiącu Wrześniu.

340. Starozakonna Pesla Ajzikowa kupcowa, z Wilna, w domu W. Godaczewskiego . . 1.
341. W. Franciszek Klaczkowski, z córką Ewą Karłowiczową, wnuczką Ksymeną i Panną Rewkowską, obyw. p. Trockiego, w domu skarbowym . . . . 2.

Koniec.

